

O początkach szpitala w Sterdyni, w szabas tylko do sklepu pana Gutry,
jak Bolesław Godlewski oszwabić się nie dał, ambaras z pustymi cerkwiemi

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie:

Sterdyń, pierwsza dekada XX w. Dawna karczma przemianowana na Dom Ludowy
(fotografia ze zbiorów dr. Adama Jarosińskiego)¹.

Wielokrotnie pisaliśmy na tych łamach o dzielnych lekarzach ze sterdyńskiego szpitala, zapewne pierwszego stałego zakładu leczniczego w naszym regionie (były szpitale np. w Bielsku, Łomży czy Siedlcach, ale odległe od obszaru naszych zainteresowań). Czas dowiedzieć się czegoś więcej o początkach tej jedynej w swoim rodzaju placówki.

Od zachodu słońca w piątek, aż do sobotniego wieczora nie zrobisz człowieku porządnym zakupów w Ostrowi. W całej stolicy powiatu jest bowiem wówczas otwarty tylko jeden sklepik. Ciężką sytuację kupujących pogłębia fakt, że gdy wcześniejsi szynkujący trunkami chętnie użyczały swych boskich napojów „na krechę”, to po nastaniu państwowego monopolu zwyczaj ten niestety upadł.

Bolesław Godlewski jest najlepszym przykładem jak duże korzyści, także te materialne, można odnieść z czytania. Oszuści próbowali zwieść tego mieszkańca Podgórze i pozbawić ciężko zarobionych pieniędzy. Jednak nie z panem Bolesławem takie numery, on już bowiem nie raz czytał o podobnych obwiesiach.

Po ucieczce w lecie 1915 r. Rosjan na wschód, liczba cerkwi w niektórych rejonach kraju przekraczała liczbę wyznawców prawosławia. W gminie Sterdyń były dwie cerkwie i wprawdzie nie wiadomo czy liczba osób uczęszczających do tych świątyń była mniejsza, czy też przekraczała cyfrę dwa, to lokalny korespondent „Zorzy” zastanawia się nad przyszłością opuszczonych budynków.

Czytelnicy zapewne pamiętają, że gdzieś tak zimową porą tego roku, zamieściliśmy kilka odcinków opowieści o przygodach warszawianki o imieniu Monika, która sezon letni zwykła spędzać w swym nadbużańskim domku. Postanowiliśmy odwiedzić naszą uroczą i gościnną rozmówczynię na jej hacjendzie.

Byliśmy szczerze zdumieni rozmachem działań pani Moniki, bo to, co zobaczyliśmy, skłania nas do wniosku, że jest na najlepszej drodze do stworzenia istnego latyfundium. Odkupiła działkę od sąsiadów, którzy mieli wprawdzie wielkie plany rekreacyjne, ale że byli w wieku mocno podeszłym, to doszli do wniosku, że najlepiej jest spędzać czas, nie w głuszy, lecz w pobliżu wielkowiejskiego ośrodka opieki zdrowotnej. Kolejni zaś sąsiedzi przeszli do lepszego wymiaru, a spadkobiercy nie mieli zamiaru ani działki sprzedawać, ani też z niej w przewidywalnej przyszłości korzystać. Zadecydowali zatem, że niechaj nasza znajoma robi sobie na tej działce, co jej się żywnie podoba, oby tylko działka nie zamieniła się w dżunglę. Tym sposobem pani Monika gospodaruje już nie na kilkunastu, ale na kilkudziesięciu arach, a jakby dobrze policzyć, to uzbierałoby się tych gruntów może i z pół hektara.

¹ „Wieś Ilustrowana”, nr 1 ze stycznia 1910 r, s. 49.

Pani Monika wiedziała, że praca na roli to udreka, ale mimo wszystko zaryzykowała. Być może ta decyzja, to echo jej poglądów z czasów, gdy wiele czasu spędzała w modnych stołecznych kawiarniach. Jeden z guru przesiadujących całymi dniami nad filiżanką z sojowym latte, twierdził, że rolnictwo to łatwizna. Wystarczy wrzucić nasionko do ziemi, pozostałe procesy pozostawić siłom natury, a po kilku miesiącach pozbierać gotowe jedzenie. Nie zacytujemy, co pani Monika, myśli obecnie o poglądach tegoż guru, gdyż nie chcemy być posądzeni o szerzenie mowy nienawiści.

Za podstawową i niezbędną cechą wyróżniającą osobę prowadzącą nawet małe gospodarstwo uznaje pani Monika pracoholizm i upodobanie do wstawania z łóżka dokładnie wtedy, gdy większość nowoczesnych mieszczuchów kładzie się spać. Nic pożytecznego nie wyrasta niestety samo. Pewnie, że tu i tam wybijają się ku niebu samosiejki, ale one żyją swoim własnym życiem i nigdy nie są to rośliny, o których marzymy.

Szybko doszła do wniosku, że wyrzeczenie się chemii to utopia, a to, co mówią przeróżne kawiarniane mądrale, że rolnikowi niepotrzebne są nawozy i środki ochrony roślin, bo przecież wszystko reguluje natura, to najczystsza bzdura. Nasza znajoma nadal oficjalnie mówi, że chemii nie używa i faktycznie niczego nie opryskuje w świetle dziennym. Robi to dopiero po zapadnięciu zmroku, dokładnie tak, jak i sąsiedzi. Wszyscy o tym wiedzą, ale solidarnie milczą, udając następnego dnia, że nikt nikogo nie widział w nocy. To rodzaj zmywy, a fakt, że nasza rozmówczyni uczestniczy w spisku, bardzo ją podnieca.

Opryski to bardzo trudna dyscyplina, bo poza umiejętnością dotrzymania tajemnicy wymaga znajomości chemii i wyższej matematyki. Nawet dziesięciogramowe opakowanie dowolnego specyfiku, opisane jest tak, jakby jego nabywca był posiadaczem rozciągającej się na pół powiatu megafarmy, a dołączona ulotka pełna jest porad w stylu: „Użyj 200 hektolitrów cieczy na 10 tys. hektarów”. Nie pamięta już, ile spędziła nocy, przeliczając te nonsensy na potrzeby swojego, mieszczącego ledwie 5 litrów płynu spryskiwacza.

Rolnik musi być także mechanikiem. Szybko doszła do wniosku, że przeznaczone dla amatorów maszyny i narzędzia, są tak pomyślane, aby nie działały, a najlepiej, gdyby się wnet rozleciały. Bardzo lubi pomidory. Te kupowane w sklepach mają dziesiątki trudnych do zliczenia zalet. Mogą np. leżeć miesiącami w słońcu, nie wykazując oznak gnicia, a zrzucone z wysokości kilku pięter na ziemię nie doznają najmniejszego uszczerbku. Wada jest tylko jedna, mała, tyciutka, a mianowicie są pozbawione smaku. Postanowiła zatem zasadzić spore pole własnych, ale po co się męczyć, klęczeć, zginać, brudzić, skoro sąsiad jest posiadaczem niewielkiej, prościutkiej maszyny, która wszystko sadi szybko, równiutko, czyściutko, a w dodatku z niewiadomych powodów sąsiad z niej nie korzysta. Okazało się, że maszyna, choć zamierzenia projektantów były zapewne zupełnie inne, ma tylko dwie opcje: wszystko zakopuje tak głęboko pod ziemią, żeby to już nigdy słońca nie ujrzało, albo rozrzuci sadzonki po powierzchni na tegoż słońca pastwę. Innych alternatyw nie ma. Zrozumiała, dlaczego ta i inne maszyny, leżą bezużytecznie w sąsiedzkich składzikach – lepiej i szybciej jest wszystko zrobić ręcznie.

Bez prostszych maszyn obyć się jednak nie sposób, choć te też się psują i są śmiercionośne, ale co tam, należy się pogodzić z faktem, że rolnictwo to najniebezpieczniejsza profesja na świecie. Zamierzała kupić elektryczną kosiarkę i równie elektryczną piłę, ale wielkiej mocy, to te urządzenia nie mają i dobre są na działki o powierzchni pocztowego znaczka. Szybko więc doszła do wniosku, że lepsze są spalinowe. Zresztą, zna przecież siebie i wie, że kabel

przecięłaby najdalej po godzinie pracy. Nie chce też sprawiać satysfakcji facetom z sąsiedztwa. Gdy tylko usłyszą szum elektrycznej kosiarki, to zaraz mówią: „Baba kosi”.

Pierwszą piłę natychmiast popsuła, bo nie wiedziała, że nie wolno wlewać czystej benzyny do baku. To znaczy, ktoś tam coś o tym wspominał, ale szybko zapomniała. Przy drugim podejściu przeczytała już dokładniej instrukcję, a tam napisano, że aby pracować z czymś takim, to trzeba nosić ochronne: okulary, kombinezon, kask, rękawice i buty. Dobrze sobie, chyba piszący instrukcje nigdy nie pracowali w polu. Wystarczy pięć minut, a człowiek tak okutany, topi się we własnym pocie i najchętniej rozebrałby się do rosołu. Zrzuciła więc prawie wszystko (wszystkiego nie mogła ze względu na zasady moralności), narażając tym samym życie. Jednak nawet gdyby przyszło nam pracować na kompletnym odludziu, to paradowania w stroju Adama lub Ewy, nasza rozmówczyni nie poleca. Szczególnie zaś Adamom, bo pewien, charakterystyczny dla nich detal, łatwo może wkręcić się w łańcuch, a co zdolniejsi potrafią sobie to i owo poobcinać. Odkryła też pani Monika prawo, zgodnie, z którym obcinana gałąź zawsze uderza obcinającego w twarz – drzewa są mściwe i agresywne. Cóż, praca rolnika jest, jak już wspomnieliśmy ryzykowna.

Okazuje się, że nawet narzędzia najprostsze, jak sekatory, nożyce, grabie zaprojektowane są tak przemysłnie, by zaraz się popsuły. Początkujący rolnik oraz człowiek naiwny mówi sobie wówczas: „Nigdy więcej nie kupię narzędzi firmy Abacki”. Po czym jedzie do sklepu i kupuje ładniejsze, sprawiające wrażenie solidniejszych, znacznie droższe produkty Babackiego i... wszystko przebiega podług znanego schematu, bo przecież wszystkie litery alfabetu wykupiła ta sama tajemnicza, działająca pod różnymi nazwami firma. Zdaje się, że największe znaczenie przywiązuje się teraz do estetyki, do użyteczności zaś żadnego.

Wzorem doświadczonych sąsiadów zaczęła preferować, wyglądające niczym odnalezione na śmietniku starożytne narzędzia... takie pozbawione wifi, laserów, wodotrysków, kryształków Swarovskiego i alufelg, wykute przed prawie wiekiem przez wiejskiego kowala i nadal pomocne w pracy. Pozwolić tym cudom szczeznąć, to prawdziwe świętokradztwo. Gdy jakaś drobnostka odpadnie, to antyk zanoszą do pana Edka z wioski, a on już wie, jak wszystko celem reanimacji pospawać. Pani Monika odkryła tym samym kolejne prawo, w myśl którego im narzędzie jest starsze, brzydsze i niestety cięższe, tym praktyczniejsze.

Rolnik musi znać się także na prawie. Chciała ściąć stare, chylące się ku ziemi, zagrażające jej domostwu drzewo, ale niepotrzebnie zdradziła się ze swymi zamiarami – sprawa się rozniosła i wybuchła afera. Rzeczne drzewo to żaden baobab i gdyby pewnej nocy znikło, to nikt by tego faktu nie odnotował, wszyscy żyliby nadal szczęśliwie, a w osadzie panowałby spokój. W każdej jednak nawet najmniejszej społeczności znajdują się osobnicy, którzy sprzeciwiają się wszystkim i wszystkiemu. Jest im obojętne, czy chcesz ściąć, czy zasadzić drzewo. W pierwszym przypadku będą rozpaczali, że pozbawisz ich cienia, a ich ogródek zamienisz w klepisko. W drugim zaś zaskarżą cię do sądu, że cień, który drzewo rzuci, pozbawi ich promieni słonecznych. Drzewo więc nadal stoi przy rogu budynku, a przy silniejszych porywach wiatru wydaje jęki i inne dziwne dźwięki, które przyprawiają panią Monikę o gęsią skórę.

Natomiast pod żadnym pozorem rolnik nie powinien znać się na finansach. Czytelniczka poczęstowała nas przepyszną rzodkiewką i zapytała: „Jak myślicie? Ile kosztowało wyhodowanie tego pęczka?”. Strzelaliśmy – 1,5 zł, 3 zł, redaktor zaś, w którego domu za sprawunki odpowiedzialna jest żona, krzyknął – 5 zł. Okazało się, że pani Monika nie wie, a raczej nie chce wiedzieć, ile dokładnie kosztuje ją wyhodowanie rzodkiewki, szczególnie tej z

maleńkiego poletka, niepryskanego i pozbawionego sztucznych, o frymuśnych nazwach nawozów. Pewnego dnia postanowiła porachować koszty, licząc skrupulatnie wszystko, włącznie z własną pracą. Doszła do 10 zł i 14 groszy za pęczek, załamała się i przerwała wycenę, choć do jej końca brakło jeszcze sporo. Jej zdaniem, jeśli ktoś chciałby się zająć produkcją rolniczą nawet na małą skalę, to rzecz jasna władze powinny wydać mu pozwolenie, ale pod warunkiem, że jest bajecznie bogatym rockmanem albo trafił główną wygraną w *Eurojackpot*. Tylko bowiem sowite dochody z innych źródeł pozwalają na paranie się rolnictwem.



[„Zdrowie”, nr 154 z lipca 1898 r.]

SZPITAL Ś-GO PAWŁA W STERDYNI podał dr Adam Jarosiński

I. Rys historyczny

Sterdyń leży w powiecie sokołowskim guberni siedleckiej w odległości 6-ciu wiorst od Buga i wpadającego doń Nierca [Nurca], tj. na pograniczu powiatu ostrowskiego guberni łomżyńskiej i powiatu bielskiego guberni grodzieńskiej.

Dziś mająca 1000 mieszkańców osada, przez długie lata była własnością hrabiów Ossolińskich, następnie przeszła do hrabiów Krasieńskich, a w roku 1848 hrabianka Paulina Krasieńska wniosła Sterdyń jako wiano swojemu małżonkowi, obecnemu prezesowi Komitetu Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego p. Ludwikowi Górcy. Państwo Górcy prawie stale mieszkali w swoich dobrach, posiadając zaś wiele cnót obywatelskich, znacznie się przyczyniali do podniesienia sterdyńskiej okolicy i dobrobytu okolicznych włościan. Im również i szpital sterdyński pośrednio zawdzięcza swój początek. Widząc brak umiejętnej pomocy lekarskiej, państwo Górcy skutecznie zaradzają powyższej potrzebie i w roku 1852 zapraszają do siebie wychowawca Wszechnicy Jagiellońskiej dr. Sebastiana Rosickiego. Pełen młodzieńczej energii, pracowity i doskonały lekarz dr Rosicki znajduje w Sterdyni wdzięczne pole dla swej zawodowej i społecznej pracy. W krótkim stosunkowo czasie umie sobie zjednać okolicznych

mieszkańców, przeważnie lud roboczy, wspierany zaś moralnie i materialnie przez swych możliwych protektorów dąży do urzeczywistnienia upragnionego przez się celu – do założenia większego szpitalika. Wiele przeszkód musiał usunąć, wiele trudów ponieść, zanim przy współudziale miejscowego obywatelstwa otworzył szpital na 20 łóżek. Akt założenia szpitala spisany własnoręcznie przez dr. Rosickiego i przechowywany w książkach szpitalnych przytaczam *in extenso*.

Sterdyń 12 lutego 1863 roku.

Szpital dotychczasowy w Sterdyni, składający się z 6-ciu łóżek przeznaczony był dla chorych z majątku sterdyńskiego i utrzymywany wyłącznym kosztem dziedzica miejscowego, z dniem dzisiejszym istnieć przestaje. W miejsce tegoż wybudowany został z dobrowolnych składkowych ofiar szpital nowy z przeznaczeniem nie tylko dla miejscowych chorych, ale dla wszystkich chorych bez wyjątku.

Jak tylko myśl powzięta została, co do wybudowania nowego, większego szpitala, sąsiednie panie obywatelki zawiązały z siebie komitet do zebrania potrzebnego funduszu. Ja napisałem stosowną odezwę, na której podpisały się: JJWW. [jaśnie wielmożne] pani Emilia Trębicka z Kurowic, pani Albina Rozenwerth z Wólki Kossowskiej, pani Elżbieta Chojecka z Małożewa, pani Aniela Walewska z Wirowa i pani Janina Kuszell z Kossowa. Nadto podcyfrował odezwę tę JW. pan Artur Chojecki z Gródka, który łącznie z panem Jaszczoldem wykonał plan i zgodził się kierować budową. Ponieważ zaś na miejscu koniecznym był dozór i utrzymywanie podręcznej kasy, podjął się tego dopełnić Wpan Żołędowski, burmistrz miasta Sterdyni, z czego też w istocie wśród największych przeszkód i trudów, z największą gorliwością i prawdziwym poświęceniem jak najchlubniej wywiązał się, gdyż robił daleko więcej nad to, czego się podjął.

Skoro dziedzic majątku sterdyńskiego JW. pan Ludwik Górski dowiedział się o zamierzonym przez sąsiednich obywateli projekcie, zaprosił sąsiadów swoich i oświadczył im, że na wybudowanie takiego ogólnego szpitala w zupełności się zgadza, że będzie się starał o ile możliwości przyjąć stowarzyszonym z pomocą i ofiarował plac na dziedziczną własność wraz z ogrodem pod ten szpital, darował drzewo z karczmy Wygodą nazwanej, resztę nowego drzewa ile będzie trzeba, wszystką cegłę i 2 kopy wytartych tarcic. Prócz tego darował wszystkie sprzęty ze starego szpitala i kapitałem 30-tysięcznym obciążył majątek hipotecznie, z którego procent obrócony ma być na utrzymanie trzech siostr miłosierdzia, które chorych w tym szpitalu obsługiwać mają.

Po takim oświadczeniu JW. pana Górskiego, obywatele sąsiedni przyrzekli wszelką ze swej strony pomoc w wybudowaniu i dalszym utrzymaniu tego szpitala i złożyli zaraz deklarację, że przez lat 3, co rok złożą się na 3 tysiące złotych polskich i do 60 korcy zboża różnego, który to fundusz wystarczyć może na pierwszą podstawę i z którego obsługa i najpierwsze potrzeby mogą być zaspokojone. Koszta zaś kuracyjne będą ściągane od chorych w umiarkowanej ilości.

Zaraz potem wspomniane panie zajęły się jak najenergiczniej zbieraniem składek, a JW. pani Emilia Trębicka jako prezesowa założonego komitetu prócz ze swej strony największych ofiar w pieniądzu i w rozmaitych, wielką korzyść przynoszących darowiznach, urządziła loterię z zebranych fantów i z 6-ciu drzew cytrynowych, danych na korzyść szpitala. Wreszcie ofiarowała 6 łóżek z całą bielizną i wszystkimi potrzebnymi sprzętami, tak że cała darowizna JW. Emilii Trębickiej do 600 rubli wyniosła.

Mając taką podstawę, przystąpiliśmy do budowy szpitala drewnianego. Projekt założenia onego 19-go Maja 1861 roku, w dzień pamiątki zesłania Ducha św. został powzięty, zaś już w następnym roku 28-go kwietnia 1862 roku, położony został kamień węgielny uroczystie w Sterdyni, na placu obok szkoły elementarnej, na drodze do Ratyńca i do Węgrowa tuż nad stawem, którego woda napływowa z łąk i pól używaną bywa do obracania młyna wodnego. Do tego miejsca wyszła procesja po uroczystym na ten cel nabożeństwie w kościele, poprzedzona przez duchowieństwo: W-go księdza kanonika Erazma Parysa, celebrującego z W-ym księdzem Władysławem Ołtarzewskim, wikariuszem miejscowym; W-ym księdzem Dąbrowskim, wikariuszem z miasta Siedlce; księdzem Komisarzem Jeneralnym OO. Reformatów i Definitorem Patrycym Przylibskim, wujem podpisanego i alumnem Akademii Duchownej Rzymskokatolickiej Konstantym Szyszkowskim z Warszawy.

Z ludem niosącym krzyże, chorągwie i obrazy, licznie w tym celu zgromadzonym, znajdował się pod ten czas pan Erazm Parys oraz bratanek ks. kanonika Parysa, który przybył w gościnę z Francji z Marsylii, urzędnik kolei tamtejszej. Zarazem: JW. pani Bronisława Wyleżyńska, JW. pani Jadwiga Chojecka z dziećmi, córki JW. pani Emilii Trębickiej, JW. pani Aniela Walewska z Wirowa, JW. pani Maliszewska, małżonka dr. Antoniego Maliszewskiego z Sokołowa. A na czele JW. pani Emilia Trębicka wraz z synem JW. panem Stanisławem Trębickim, któremu także towarzyszył W. pan Paderewski młody, obywatel spod Niemiaticz [Siemiaticz?]. Po rozrzewniającej przemowie do ludu ks. kanonika Parysa, wyjaśniającej cel tej ceremonii i przyszłego zakładu, dopełnionym zostało poświęcenie fundamentów, położenie kamienia węgielnego, do czego wszyscy obecni i starsi włościanie rękę swoją przyłożyli. Zamurowano w węgiel od strony wschodniej budynku w butelce opieczętowanej napis stosowny. Procesja powróciła potem do kościoła, a budowa szpitala postępowała swoim porządkiem.

Murarską robotę wykonał majster z Miedznej Stanisław Smarzewski, ciesielską zaś Jan Klemm, majster z Gródka. Mnóstwo sąsiednich pań i panów obywateli złożyło różne ofiary w naturze, a jedną z największych dała JW. pani marszałkowa Kuczyńska z Korczewa, gdyż ofiarowała największą ilość tarcic suchych w najlepszym gatunku.

W przeciągu 7-iu miesięcy wykończony został szpital na wysokiej podmurówce z drzewa, z zewnątrz wykitowany i olejno pomalowany. Przez środek budynku przechodzi korytarz, a po jednej i drugiej stronie tegoż są położone sale dla chorych. Takich sal jest 4, z przeznaczeniem na wygodne i obszerne pomieszczenie 20 łóżek. Prócz tych jest jeszcze jedna sala na kancelarię i skład bielizny szpitalnej, 2 obszerne pokoje na mieszkanie siostr miłosierdzia, kuchnia razem z pralnią, łazienka, spiżarka, lodownia, kloaki i pokój na pomieszczenie apteki szpitalnej. Pod kuchnią jest wymurowana, sklepiona, obszerna piwnica, a pod łazienką mniejsza piwniczka. Obok szpitala wybudowana została szopa na drwalnię, skład gospodarskich przedmiotów i w jednej części na pomieszczenie kloak dla zdrowych. Przed domem jest dość obszerny plac, który ogrodzony jest sztachetami, poza domem dziedziniec, a poza tym ogród, wynoszący przeszło mórg gruntu jak najlepszego.

JW. pani Trębicka napisała wezwanie do sąsiednich pań o nadesłanie 14-tu łóżek żelaznych z należącymi do tych łóżek utensyliami, gdyż sama 6 łóżek z góry ofiarowała.

Kiedy jeszcze nie wszystkie łóżka zostały nadesłane, a gmach w zupełności ukończony, szpital nazwano pod wezwaniem Ś-go Pawła, na pamiątkę, że JW. pani Paulina z hr. Krasińskich Górską, małżonka JW. pana Ludwika Górskiego, najpiękniejszą ofiarę, bo 30 tysięcy złot. pols. dla szpitala tego hipotecznie zapisała. Dnia 18 listopada 1862 r. dopełnione zostało uroczyste

poświęcenie. Dzień ten dlatego do poświęcenia został przeznaczony, że 16-go listopada przypada w Sterdynie, jako w dniu św. Stanisława Kostki odpust 40-to godzinny, gdzie zgromadzenie duchownych i ludu jest znaczne. W trzecim zatem dniu po konkluzji 40-godzinnego nabożeństwa wyszła na czele licznego duchowieństwa procesja z kościoła, której oprócz miejscowych osób towarzyszyli właściciele majątku sterdyńskiego JW. państwo Ludwikowie Górscy z panią Ewą Dernałowicz, dziedziczką Repek. Wskutek różnych przeszkód nie mogło się zebrać całe grono ofiarodawczyń, które zebrały fundusz, ale komitet ten reprezentowany był przez JW. panią Ignację Mysłakowską i JW. panią Bronisławę Wyleżyńską z Kurowic. Ks. kanonik Parys i tym razem dopełnił tej ceremonii, poprzedziwszy ją bardzo rzewną przemową do licznie zgromadzonego ludu.

Z dniem tym tj. 18 listopada szpital został w zupełności wykończonym i gotowym do otwarcia, lecz ponieważ siostry miłosierdzia nie otrzymały urzędowo zatwierdzonego zapisu, z którego by się utrzymać mogły przy obsłudze chorych, zaczekać musieliśmy z publicznym otwarciem onego. Tymczasem uporządkowaliśmy wewnątrz zakład i zgromadziliśmy wszystkie ofiary. Pieniądzy ubieranych przez wspomniane panie było przeszło 15.000 złp. Dnia 11 lutego 1863 r. przybyły trzy siostry miłosierdzia z Warszawy, zajęły swoje mieszkanie w szpitalu, zajęły się przeniesieniem chorych ze starego dominialnego szpitala i z dniem 12-go lutego 1862 r. szpital do publicznego użytku otwartym został. Obok zarządu wewnętrznego zakładem przez siostry miłosierdzia będzie utworzona Rada Opiekuńcza Szpitala Ś-go Pawła w Sterdynie, lecz obecnie z powodu rozmaitych przeszkód, utrudniających zebranie się obywateli do utworzenia takiej Rady, wszystkie znajdujące się w gotowości i w naturze fundusze oddane zostały w ręce sióstr miłosierdzia, które zobowiązały się ze wszystkiego, co do ich rąk wpłynie lub wydany zostanie, przed utworzoną Radą Opiekuńczą, rachunkami dokładnymi swoje działania usprawiedliwić.

Jedną z najniezbędniejszych potrzeb przy tym szpitalu jest studnia na dziedzińcu z pompą i oparkanie ogrodu, lecz na te rzeczy zabrakło zupełnie funduszu, na co jednak przy Opatrzności Boskiej znajdują się dobrodzieje.

Siostry miłosierdzia, które pierwsze otworzyły Szpital Ś-go Pawła w Sterdynie. nazywają się: panna starsza-siostra Stanisława Meltzer; panna do chorych siostra Eleonora Prokopowicz, panna ekonomka siostra Waleria Fedorowicz. Pan Rutkowski Józef, nauczyciel miejscowej szkoły elementarnej zajmował się jak najtroskliwiej prowadzeniem wszystkich rachunków, tak podczas budowy szpitala, jako też i teraz nie odmawia swej pracy przy wprowadzeniu szpitala w życie.

Felczerem obsługującym chorych szpitalnych jest obecnie pan Izydor Salomonowicz. Pierwszy kamień pod szpital przywieziony został przez Mikołaja Kondziałkę, włościanina z Dzieciół Dalszych.

W Sterdynie 12 lutego 1863 r.

Sebastyan Rosicki
Doktor Medycyny Wszechnicy Jagiellońskiej,
Członek Korespondent
Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego,
Lekarz ordynujący Szpitala Ś-go Pawła w Sterdynie.

Wkrótce po otwarciu, szpital zostaje oddany pod opiekę Głównej Rady Opiekuńczej Królestwa Polskiego, która ze swej strony zezwala na utworzenie miejscowej Rady Opiekuńczej (1865 r.). Ta ostatnia składa się z następujących osób: opiekun szpitala Ludwik Górski, prezydujący Artur Chojecki. Członkowie: ks. Marczewski, proboszcz z Jabłonny; ks. Erazm Parys, proboszcz ze Sterdyni; W. Bądryński, właściciel Skrzyszewa; J. Rutkowski (sekretarz); dr. J. Rosicki.

Działalność członków Rady Opiekuńczej polegała na dostarczaniu dla szpitala niezbędnych produktów oraz funduszków. Szpital utrzymywał się z dobrowolnych ofiar, urządzanych zabaw, kwest po kościołach na korzyść szpitala oraz z opłat za leczenie chorych (z początku po 20 kopiejek, następnie po 25 i 30 kop.). W r. 1870 Rada Opiekuńcza prywatna zniesiona zostaje, na jej zaś miejsce powstaje Rada Powiatowa, istniejąca dotychczas, w skład której wchodzi: opiekun szpitala Ludwik Górski, prezydujący naczelnik powiatu sokołowskiego. Członkowie: pomocnik naczelnika powiatu, lekarz powiatu, proboszcz cerkwi prawosławnej w Sokołowie.

Rada Powiatowa jest w pełnej zależności od Rady Opiekuńczej Gubernialnej.

W roku 1877 umiera dr Rosicki. Zmarły nie dorobił się majątku, pozostawił zaś po sobie dobre imię, często po dziś dzień ze czcią wspominate oraz szpitalik, którego był założycielem, w którym troskliwie przez 24 lata pracował i niósł ulgę cierpiącym. Okoliczne obywatelstwo, uznając zasługi dr. Rosickiego, wmurowało w sterdyńskim kościele tablicę ozdobioną biustem zmarłego i następującym i następującym napisem:

Ś. P.
SEBASTJAN ROSICKI
LEKARZ SZPITALA STERDYŃSKIEGO
ur. d. 18 Stycznia 1830 r. w Galicji,
umarł d. 4 Czerwca 1877 r. w Sterdyni.
Obywatele tej okolicy, w której przez lat z górą dwadzieścia niósł pomoc
i pociechę, proszą o modlitwę za duszę jego do Boga.



Wizerunek dr. Sebastiana Rosickiego w sterdyńskim kościele.

Fotografia: Dariusz Kosieradzki, Henryk Oleksiak – "Wichura" (z archiwum rodzinnego Oleksiaków), [za:]
Krajobrazowy Przewodnik Wschodniego Mazowsza i Podlasia przewodnik.krajobraz.org.pl.

Następca dr. Rosickiego, dr Alojzy Podolski wychowaniec Uniwersytetu Warszawskiego (obecnie lekarz powiatu węgrowskiego) szedł drogą utartą przez swojego poprzednika. Frekwencja chorych oraz zaufanie do szpitala, sądząc z ilości leczących się w szpitalu, dość duże.

Dr. Podolskiego w 1884 r. zmienia trzeci z kolei lekarz dr Józef Tchórznicki (obecnie lekarz m. Warszawy). Główną zasługą dr. Tchórznickiego jest wprowadzenie antyseptyki do szpitala, urządzenie bezwonných ustępów, wentylacji etc. Dr Tchórznicki pracował w Sterdyni do marca 1894 r.

Siostry miłosierdzia oprócz trzech wyżej wymienionych, w dalszym ciągu były następujące: 4) Florentyna, 5) Marianna, 6) Emilia, 7) Felicia, 8) Eleonora, 9) Paulina, 10) Filomena, 11) Waleria, 12) Matylda Ekkert, 13) Katarzyna Bańkowska.

Przy radzie powiatowej: 14) Grasylda Jakobielska 15) Pelagia, 16) Aniela, 17) Romania.

W roku 1885 katolickie siostry miłosierdzia ze Stowarzyszenia Ś-go Kazimierza na skutek rozporządzenia warszawskiego jenerał-gubernatora JW-go Hurko zostały usunięte, na ich zaś miejsce przysłano siostry prawosławne ze Stowarzyszenia Ś-tej Elżbiety. Te ostatnie kolejno były następujące: 1) Maria Baracz, 2) Maria Konkiewicz, 3) Helena Potapowa, 4) Maria Miłowidowa, 5) Maria Aleksiejewa, 6) Helena Tronowska, 7) Anna Wasiljewa, 8) Olga Jewstratowa, 9) Anna Raczkowska, 10) Natalia Ławrowa, 11) Glikeria Lisowska, 12) Natalia Andrejewa, 13) Anna Gołowa, 14) Eugenia Balicka.

Felczerzy szpitalni od czasu założenia szpitala do chwili obecnej byli następujący: 1) Salomonowicz, 2) Wasilewski, 3) Myszka, 4) Abratowski, 5) Lewiński, 6) Sikorski, 7) Szerenos, 8) Mordasiewicz.

W prowadzeniu ksiąg i urzędowej korespondencji lekarzom pomagał do końca swego życia tj. do listopada 1895 r. pan Józef Rutkowski, były nauczyciel szkoły sterdyńskiej. [cdn.]

[„Zorza”, nr 36 z 8 września 1898 r.]

Z Ostrowi w gub. łomżyńskiej piszą nam:

Miasto tutejsze w dzień szabasowy ma wygląd odmienny; sklepy ścielnie są pozamykane, jedyny tylko sklep p. Gutry bywa otwarty i temu się bardzo dobrze powodzi. Mogłoby tu więcej sklepów powstać swojskich, ale my lubimy czekać, aż pieczone gołąbki same wpadną nam do gąbki i jak dotąd na próżno czekamy. Sklepów monopolowych otwarto tu dwa; jeden z nich ma miesięcznego obrotu przeciętnie około 6 tysięcy rubli, drugi prawie tyleż, a więc jedno takie miasto spotrzebowywa aż za 144 tysięcy rubli rocznie gorzałki. Dobrze jeszcze, że lud miejscowy używa napojów w miarę i przy nadarzonej sposobności. Wprzódy było cokolwiek inaczej, może dlatego, że dawniejsi szynkarze dawali na kredkę znajomym, czego obecnie nie ma. Dziwne tylko, że w traktierniach i innych zakładach jadło- i piciodajnych, a jest ich tu kilka, nie ma żadnego pisma. Widocznie pp. właściciele tych zakładów chcą, żeby gość nie tracił czasu na czytanie, a oni daremnych, jak im się zdaje, wydatków nie ponosili na jakieś tam gazety. Głupie wyrachowanie!

[„Zorza”, nr 51 z 22 grudnia 1898 r.]

Z Podgórze w p. ostrowskim, gub. łomż.:

Często ten i ów opisuje swoje okolice w „Zorzy”, ale z naszych stron rzadko daje się co usłyszeć. Otóż wieś nasza od pagórka zapewne, na którym leży – Podgórzem zwana, położona jest nad rzeką Bugiem, a składa się z ośmiu osad w połowie zamieszkałych przez szlachtę i włościan. Grunty mamy tu średnio urodzajne, a gdybyśmy się rozeszli na kolonie i zaprowadzili płodozmian, stałyby się bardzo dobrymi.

Do oświaty garniemy się nie najgorzej, bo zaledwie kilka osób pozostaje jeszcze w ciemnocie, a reszta umie czytać i pisać.

Gdyby nie pycha, jaka teraz nas trapi, żylibyśmy tu jak w jednej rodzinie, po Bożemu, ale ta pycha, zamienia nas niejednokrotnie na wrogów. Na jarmarku w Ostrowiu dnia 21 listopada, gospodarz z naszej wsi Bolesław Godlewski sprzedał wołu, za którego wziął kilkadziesiąt rubli. Wtem zaczepia go jakiś pan i zapytuje, skąd jest? Z Podgórze – była odpowiedź. Weźcież – mówi ów jegomość – list do Małkini, będzie wam po drodze, a ja dam wam za przysługę rubla. Chodźcie ze mną, napiszę go i dam wam. Gospodarz poszedł z owym panem, a ten zaprowadził go do żydowskiego domu, każe mu siadać, sam zaś zabiera się niby do pisania owego listu. Naraz zjawia się tu drugi, potem trzeci, czwarty i zaczynają grać w karty, i zapraszają do niej naszego gospodarza. Pomiarkował Godlewski, że jest w towarzystwie oszustów, nie słuchając więc namowy do gry, opuścił gniazdo łotrów. Gdyby ów gospodarz nie czytał „Zorzy”, skądże by o tym wiedział, że zamiast zysku mógł ponieść stratę?

We wsi Podgórze są żydowskie sklepiki i mają powodzenie, a w czasie lata, kiedy tędy przechodzi wojsko, handel się ożywia i ściąga Żydów z Czyżewa, Ostrowi, a nawet z Łomży. Nasi tymczasem patrzą na to obojętnie i, pomimo że się to dzieje na ich gruntach, czekają, aż im pieczone gąbki wpadną do gąbki. Ale może kiedyś nabiorą rozumnej przemysłowości.

Nadbużak.

[„Zorza”, nr 3 z 20 grudnia 1917 r.]

CO ZROBIĆ Z PUSTYMI CERKWIAMI?

W naszej gminie Sterdyń (pow. sokołowski) oświata robi znaczne postępy. W ostatnich miesiącach założono po wioskach tutejszych piętnaście szkół, kiedy za czasów rządów rosyjskich mieliśmy aż... trzy! Gmianiacy płacą na szkołę dość wysoką składkę, bo po 34 kopiejki z morgi. Gmina sterdyńska jest duża – zajmuje ponoć 184 wiorsty kwadratowe powierzchni. Składa się z trzech parafii: sterdyńskiej, ceranowskiej i zembrowskiej.

W okolicy naszej znajdują się dwie cerkwie prawosławne, a mianowicie w Seroczynie i Łazówku. Stoją one dzisiaj pustkami, choć co prawda i za czasów rosyjskich zawsze były puste, boć przeciw prawosławnych nie było u nas prawie wcale. Obydwie te cerkwie to były wszak unickie Domy Boże przemocą zamienione na prawosławne. Warto by było, żeby lud tutejszy pomyślał o nich i żeby wyjednał u zwierzchności kościelnej przerobienie ich z powrotem na kościoły.

Dobrze by też było, gdyby się dało sprowadzić do Seroczyna i Łazówka ojców salezjanów, albo inny jaki zakon, który się zajmuje wychowaniem dzieci. Dla nas przecie tak ważnym jest dobre wychowanie

dzieci. Wszak młodzież jest fundamentem kraju i narodu, a my powinniśmy budować tę naszą Polskę od fundamentów!

Otóż księża zakonnicy pomagali by nam wieśniakom, wychowywać naszą dźwiatwę w duchu religijnym i narodowym. Zanim jednak będzie, to można uskutecznić, cieszylibyśmy się, gdybyśmy pozyskali na nauczycieli naszych szkół wychowawców jakiego seminarium nauczycielskiego np. ursynowskiego.

Obecnie bowiem mamy takich tylko nauczycieli, którzy pokończyli seminaria rosyjskie.

Czytelnik „Zorzy” z gm. Sterdyń *W. K.*



Świątynia w Seroczyniu, obecnie nieużytkowana, wzniesiona na przełomie XVIII i XIX w. na potrzeby unitów. W 1875 roku zamieniona na cerkiew prawosławną.

W roku 1921 przekazana katolikom.

Źródło: *MazowieckiPielgrzym*, CC BY-SA 4.0 <<https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/>>, via *Wikimedia Commons*.



Wybudowana w latach 1771-72 świątynia w Łazówku, w roku 1875 zamieniona na cerkiew prawosławną, w roku zaś 1919 przejęta przez kościół katolicki (fotografia z lat 30. XX w.). W latach 80. rozebrana w związku z budową nowego kościoła.

Źródło: *Kościoly drewniane w Polsce* kosciolydrewniane.pl.